№ 19. Warszawa, 14 Maja 1909 roku. Rok II.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Numer pojed. k. 20. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

OGŁOSZENIA po kop. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

KRYZYS REPUBLIKI.

Republika francuska przeżywa w chwili obecnej jedną z najcięższych i może najtragiczniejszych chwil swego istnienia. Dotychczas republice groziło niebezpieczeństwo ze strony reakcji, ale w walce z reakcją miała ona zawsze za sobą masy proletarjatu. Obecnie sytuacja znacznie się zmieniła; radykalny rząd pana Clemenceau za poparciem niemniej radykalnego parlamentu rozwinął szeroką akcję represji, zdążającą do stłumienia ruchu robotniczego, akcja ta nie dała żadnych rezultatów, a raczej wywołała skutek wprost przeciwny: rozjątrzyła wszystkie bolączki klasy pracującej, zaogniła zatarg państwa z proletarjatem i doprowadziła do ostatnich granic wzburzenie wśród najbardziej jej oddanych warstw proletarjatu — wśród pracowników państwowych. Dalej już iść niepodobna; Francja stoi nad przepaścią, na krok od wojny domowej, z której proletarjat niewątpliwie zwycięsko nie wyjdzie, gdyż z 11 miljonów proletarjatu ma zaledwie 900 tysięcy zorganizowanych zawodowo, ale to pewna, że w wojnie tej Republika polegnie. I do tej wojny prowokująco popychają robotników radykalno-socjalistyczne rządy republiki.

Pracownicy poczty i telegrafu otrzymali uroczyste przyrzeczenie od rządu, że wszystkim ich żądaniom stanie się zadość, i żaden urzędnik nie zostanie ukarany za strajk. W ten sposób rząd uświęcił zwycięstwo pocztowców, którzy ufni w przyszłość i moralnie poparci przez całą ludność pracującą, powrócili do pracy. Ale była to ze strony rządu najwidoczniej pułapka, gdyż nazajutrz po powrocie do pracy rozpoczęły się szykany i w dwa tygodnie potem, pod błahym pretekstem rozpoczęto formalne prześladowanie członków organizacji. Za niewinne mowy, skierowane jakoby przeciw rządowi, za drobne przewinienia służbowe, dotychczas tolerowane, zawieszono i przedstawiono radzie dyscyplinarnej do wydalenia około 60 urzędników rozmaitych miast. Rzecz prosta, że o zadośćuczynieniu żądaniom pocztowców niema mowy, znienawidzony sekretarz stanu pozostaje na swojem stanowisku, a wraz z nim pozostają w sile wszystkie zastosowane przez niego środki pogarszające byt robotników. Jednocześnie z rozpoczęciem tej akcji zaczepnej rząd rozpoczął przygotowania do akcji odpornej, zaopatrując się w łamistrajków, organizując zapasową służbę wojskową i prywatną. Słowem chodzi o sprowokowanie pocztowców i wywołanie strajku w chwili najbardziej dogodnej dla rządu, zabójczej natomiast dla strajkujących, w podobnych warunkach pocztowcy musieliby strajk przegrać albo uciec się do środków gwałtownych i tem usprawiedliwić najostrzejsze represje. Na tę prowokacyjną politykę pocztowcy odpowiadają

dotychczas rozsądnem wyczekiwaniem, odwołując się do parlamentu i społeczeństwa, nie mniej jednak zaznaczają, że gotowi są walczyć do ostateczności. Jak wyjdzie z tej poważnej sytuacji republika, pokaże najbliższa przyszłość, nie wystarczy bowiem zmienić ludzi u rządu, należy zmienić system i zmienić go gruntownie, a na to potrzebne są siły żywotne i wiara w przyszłość, a zarówno jednego, jak drugiego brak mieszczaństwu francuskiemu.

Jednocześnie, podnieceni reakcyjnością rządów radykalnych i uporczywem milczeniem radykalnego parlamentu, na który pokładali nadzieje, zgromadzili się na doroczny zjazd kolejarze francuscy. Związek kolejarzy należał do najbardziej umiarkowanych, najdalej bowiem odchylał się od wytycznej rewolucyjnego Powszechnego Związku Pracy. I oto ten zaledwie zabarwiony na różowo związek pan Clemenceau przyodział w szatę purpurową—związek uchwalił *w zasadzie* strajk powszechny pracowników kolejowych. Prawo o emeryturach dla kolejarzy, które od *jedenastu* lat wędruje po komisjach parlamentarnych stanowi podstawowe żądanie kolejarzy. Zjazd uchwalił przeczekać jeszcze jedną sesję senatu i, jeśli prawo nie zostanie uchwalone, ogłosić strajk. Narazie na tajnym posiedzeniu postanowiono rozpisać *referendum* i zorganizować komitet strajkowy. Rzecz prosta ruch pocztiarzy budził powszechny entuzjazm i delegatów od związku pocztowego spotykano owacyjnie. Co pocznie parlament z tym fantem?

Republika niewątpliwie przeżywa chwilę bardzo poważną. *M. A.*

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

Pierwszy maj w Belgji obchodzono wyjątkowo uroczyście w tym roku. Już od wielu lat świętowanie majowe, zwłaszcza w dzielnicach, bardziej uprzemysłowionych, weszło w obyczaje ludności, niemal jak święto narodowe, wszakże dotychczas stolica Belgji zachowywała się odpornie. W tym roku, z powodu uchwalenia, tak ważnego dla Belgji prawa o 9-o godzinnym dniu pracy w kopalniach panował entuzjazm wyjątkowy, entuzjazm ten udzielił się posłom w parlamencie i radcom miejskim w Brukseli. Ci ostatni przeprowadzili w radzie uchwałę, mocą której dzień Pierwszego maja uznany zostaje jako święto dla wszystkich pracowników miejskich, do których należą również nauczyciele szkół. Rada miejska Brukseli, po wielu latach znów przeszła w ręce większości liberalnej, która przy poparciu socjalistów odniosła zwycięstwo nad klerykałami. Otóż, chcąc najwidoczniej wynagrodzić robotnikom za to zwycięstwo, przyjęła ona tę uchwałę, na skutek której 16 tysięcy dzieci szkół miejskich świętowało. Łatwo sobie wyobrazić oburzenie tłuszczy klerykalnej, która w tym dniu bardziej, niż kiedykolwiek odczuła, że rządy jej już nie wrócą.

Rzezie w Armenji trwają. Nieszczęśliwy naród dzieli losy z narodem żydowskim, który swoją odrębność rasową odkupia krwawo za każdym razem, gdy reakcja, zagrożona w swoim istnieniu, ucieka się do despotycznych metod rządzenia: divide et impera, przyczem im bardziej jest reakcja zagrożona, tem dziksze, nikczemniejsze i okrutniejsze są skutki tej metody rządów.

Wraz z wybuchem kontrrewolucyjnych zaburzeń w Konstantynopolu, rozpoczęły się rzezie ormjan w Adanie i okolicach, — rzezie, zorganizowane przez miejscową władzę, wierną staremu ustrojowi. Ale oto obecnie kontrrewolucja została zgnieciona, nowy, demokratyczny i konstytucyjny ustrój utrwalił swe rządy, niemniej jednak depesze ciągle donoszą o trwającej rzezi, a rząd konstytucyjny, pozwala sobie podawać za swoje wiadomość miejscowego „ali“ (gubernatora) znanego organizatora pogromów z czasów Abdul-Hamida, który całą winę (jak to zwykle bywa) składa na masakrowanych bezlitośnie ormjan, którzy jakoby swojem zachowaniem się oburzyli prawowierną a rdzenną ludność.

Czyż młoda Turcja może spoglądać obojętnie na tę krwawą zmorę przeszłości. Czyż podobna przypuścić, aby pomimo wszystkich trudności, z jakiemi walczyć musi, młoda Turcja nie postarała się możliwie szybko zmyć z siebie tę krwawą plamę, najkrwawszą z plam, ciążących na starym ustroju?

NAZAJUTRZ.

Roman błądził po sali balowej. Nie szukał „wybranej“ twarzy, gdyż wszystkie były mu zarówno obojętne. Śmiechy, tryskające wokół, drżały mu w uszach, jak echa znanych, odwiecznych piosenek, drażniły go słyszane w przejściu wyrazy urywanych rozmów: znał ich początek, a dalszy ciąg snuł w myślach, nudząc się.

Widzi przesuwające się twarze, zarumienione; ciała rozkołysane w takt muzyki... Światło, dźwięki, wonie i wir ciał ludzkich — bogactwo odruchów naczyniowych.

Usiadł na jednem z krzeseł pod ścianą; opuścił głowę na piersi, pogrążał się w stan odrętwienia myślowego, nudy. Pzyszedł, „aby ludzi zobaczyć“— teraz wyrzucał sobie tę lekkomyślność.

Nagle ocknął, przetarł oczy, boleśnie urażony ostremi dźwiękami orkiestry. Rozejrzał się po sali, chwytając wzrokiem linje wyginających się ciał. Zatrzymał spojrzenie na jednej z kobiet, zajmujących miejsce opodal. Znał ją, więc zbliżył się.

— Pan nie tańczył dotychczas?—zapytała.

— Nie, właśnie teraz chciałbym z panią tańczyć— odpowiedział, składając jej ukłon. Podał jej ramię. Zrobił pierwszy tur. Było dużo par, przeszkadzano im.

— Chciałabym z panem tańczyć na wielkiej sali—w jedną parę...

— Czemu?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Mocniej oplótł ją ramionami, poddając się fali cichej i pieszczącej. Pary przerzedzały się. Czuł przed sobą przestrzeń i ruchy jego stawały się swobodniejsze i pewniejsze.

Światła wokół migocą, drżą, pierzchają. Opuszcza na chwilę powieki: widzi czarną, nieobjętą przestrzeń, w niej — krwawe smugi snujących się świateł. Fala pieszcząca, której poddał się biernie, staje się wirem. Spojrzał na nią: miała twarz bladą, lekko rozchylone usta, opuszczone powieki. Pragnąłby teraz ujrzeć jej oczy. Więc zwolna usłyszał szeptem wymówione: jeszcze. Mocno otoczył ją ramieniem. Pochylił głowę i z wonią kwiatów, przypiętych do jej stanika,

Nieprawdopodobne, a jednak rząd konstytucyjny istnieje i działa, a rzezie trwają i rozszerzają się. A ormjanie tureccy, jak za dawnych dobrych czasów wzywają o pomoc (napróżno) do Europy.

Konstytucja Perska znów ustanowiona. Tak przynajmniej donoszą depesze. Pod naporem rządu angielskiego i wobec niebezpieczeństwa najazdu rosyjskiego, zastraszony przykładem Turcji, bezmyślny i uparty despota perski nareszcie zdecydował się ogłosić nowe wybory. Tauryz, rzecz prosta święci tryumf i pełen jest entuzjazmu. Waleczny Tauryz ma się z czego cieszyć, to bowiem jego ofiarności i wytrwałości zawdzięcza naród perski ten nowy wyłom w starym ustroju. Były robotnik z Baku, a obecny wódz armji rewolucyjnej Tauryzu Satar Chan dokonał wielkiego czynu, ale zanim zwycięstwo swe utrwali, czeka go praca jeszcze większa. Nie ulega bowiem wątpliwości, że szach i tym razem nie bardzo liczyć się będzie z swoją przysięgą i przy lada okazji ponownie sprobuje uwolnić się od krępującej kontroli parlamentu. Zresztą o jakości tego parlamentu narazie nic nie wiemy, można zgóry się spodziewać, że będzie on mało podobny do pierwszego parlamentu perskiego. Satar Chan będzie tedy musiał nadal prowadzić walkę na dwa fronty— z szachem i z reakcyjnym parlamentem, i z walki tej wyjdzie on niewątpliwie zwycięsko, jeśli znużony dotychczasową walką nie złoży broni, lecz przeciwnie, skorzysta z chwilowego przymierza dla zorganizowania walki politycznej na zdrowej podstawie interesów mas pracujących całego państwa. Satar-Chan, wychowany w organizacji bakuńskiego proletarjatu, zadanie to niewątpliwie rozumie.

Almar.

W RZYMIE MARJAWICKIM.

I.

Pewnej słonecznej soboty zdecydowałem się wsiąść na statek i pojechać do Płocka, aby na własne oczy zobaczyć Mateczkę Kozłowską i jej zakład.

Marjawici intrygowali mnie od pierwszej chwili, jak o nich usłyszałem. Wszak w Polsce nigdy jeszcze nie powstała żadna nowa religja. W XV-ym wieku były wprawdzie próby założenia kościoła narodwego, lecz spełzły na niczem. Towianizm również upadł. Marjawityzm jest więc pierwszą udaną próbą utworzenia nowej religji w Polsce. Rzecz wogóle niezmiernie ciekawa, a cóż dopiero dla człowieka studjującego historję religji, którego zadaniem jest z uśmiechem pobłażania wyłuskiwać z dogmatycznych prawd i objawień jądro postępowego rozwoju.

Wypadek mieć chciał, że i marjawici byli zainteresowani mną. Gdy tworzyliśmy w 1905-ym r. Ligę Wolnej Myśli — byłem zdania, że polską wolną myśl trzeba przedewszystkiem oprzeć na polskiej tradycji wolnomyślnej. Na pięciuset stronnicach swoich „Dziejów Polski w zarysie“ p. Michał Bobrzyński, wówczas jeszcze szczery myśliciel i otwarty pisarz, zebrał tysiące faktów, dowodzących, że interesy Polski stały w ciągłej sprzeczności z interesami Watykanu. Skrzętnie pozbierałem te fakty, podkreśliłem je należycie i w ten sposób powstało studjum, potem wydane w broszurze p. t. Katolicyzm i Polskość. Pisząc tę pracę nie myślałem zupełnie o marjawitach, gdyż ich istnienie jeszcze nie było mi znane, mniej może mi nawet chodziło o wolną myśl, niż o... samego siebie... A oto dlaczego. Pochodząc z rodziny Kalwińskiej, od dzieciństwa słyszałem, że, jako nie Katolik nie mam prawa uważać się za polaka. To dowodzenie wydawało mi się zawsze jakąś straszną, niczem nie zasłużoną obelgą. I z rozkoszą chwytałem sposobność, aby dowieść, iż właśnie Katolicy byli zawsze najgorszymi polakami przez swoje posłuszeństwo obcemu panującemu, który więcej dbał o siebie, niż o Polskę.

Ale i dla marjawitów było kwestją palącą odłączyć od siebie dwa te pojęcia tak odrębne, jak katolicyzm i polskość.

Dla tego moja broszura wydana w Kielcach, której nigdzie w Warszawie dostać nie można, zrobiła sobie tysiące czytelników, mnie zaś tysiące nieznanych przyjaciół, przeważnie pośród marjawitów.

Później parę razy podniosłem w prasie dwie, trzy nawet reformy, wprowadzone przez marjawitów, które niewątpliwie stanowią postęp. Pierwsza—to oddzielenie się od Rzymu, druga—wprowadzenie polskiej mszy, trzecia wreszcie—łatwość rozwodów. Wszak o niczem innem, jak o niezależności od Rzymu i o mszy polskiej, marzyli twórcy Kościoła narodowego w XV-ym

---

wchłania zapach drażniący ciepłego ciała, zwisłego biernie na jego ramieniu. Czuje jej palce drżące w swej dłoni. Ujął ten gest i w miarę, jak jej palce mocniej wpijają się w jego dłoń, silniejszym uściskiem oplatał jej ciało i ruchy własne dostraja do tych wymownych rozkazów: lekkie, powoli płynące zmienia na szybkie, krótkie, zawrotne.

Zwisła na jego ramieniu blada, piękna w swej bierności. Wzroku nie spuszcza z jej twarzy. Na jeden moment podniosła powieki i znów szept usłyszał: jeszcze.

Kwiaty na jej piersi skłaniały głowy. Jej oddech gorący zalewa mu twarz. Z ust rozchylonych, lekko drgających spija spojrzeniem zamglonym przyczajone pragnienie.

Zwisła całym ciężarem na jego ramieniu. Pociąga ją za sobą, uniesiony wirem. I usta jego zaczynają drżeć, szeptem mówi jej słowa, na dźwięk których twarz jej, przed chwilą blada, staje się szkarłatną. Niknie sala balowa, światła—oni sami, porwani wirem, przerażeni łoskotem własnych rozszalałych serc, spojeni uściskiem, nieuchwytni dla siebie w najgłębszych tajniach rozkoszy, chwilami tracąc świadomość swej blizkości, błędni—zapadają w bezmiar mroku, ruchami konwalsyjnemi, skurczem ust, drgnieniem powiek, oddechem gorącym szukając się wzajem. Dźwięki ucichły. Roman zatrzymał się na miejscu. Nieprzytomne spojrzenie zawiesił w przestrzeni. Pociągnięty przez nią postąpił naprzód. Został wypchnięty ku drzwiom przez poruszającą się falę ludzką. Uczuł nieznośny brak powietrza. Wbiegł do szatni, zarzucił na siebie podane mu palto. Gdy znalazł się na ulicy, zaczął biedz; zatrzymał się, aby zaczerpnąć powietrza. Wpadł do swego pokoju. Zrzucił z siebie palto; chwiejąc się na nogach, nie czując się na siłach zapalić światła, opadł na otomanę. Leżał nieruchomy, odrętwiały, bez czucia, nie słysząc trwającej ciszy nocnej, skuty niemocą.

Nagle serce bić zaczyna przyśpieszonem tętnem. Z ciszy wytryska kaskada namiętnej muzyki. Sala, wirujące światła, rozkołysany, barwny tłum... Wonie i szepty lgną do jego twarzy... Ciało bierne oplata ramieniem... Powieki opuściła, ma usta drgające, lekko odchylone... Fala pieszcząca rozsnuwa ciało liljowe z muślinów, koronek... Pachną piersi, nabrzmiałe pragnieniem... Szuka jej ust, w przegubie bioder zatopił błądzącą dłoń... Pasuje się z siłą niewidzialną, upragnioną do obłędu, nieuchwytną, po-

wieku. Oni też nie zmieniali dogmatów. Co za dziwne nawiązanie ogniw rozwoju po—przez tyle wieków!

Wreszcie, dowiedziawszy się w tym roku, że marjawici wpowadzają w swoich parafjach szkółki i ochronki, postanowiłem zbadać ten ruch do głębi.

Niewątpliwie Marjawici mają szczęście, że powstali teraz, jako sekta odpadła od Katolicyzmu. Gdyby byli sektą, odpadłą od prawosławia, „karząca" ręka państwa byłaby im się mocno dała we znaki; modliliby się po lasach, jak starowiery lub, jak duchobory i mołokanie, musieliby ratować się ucieczką do Ameryki, albo ginąć w śniegach Sybiru.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, aby Katolicy nie używali wszystkich prawych i nieprawych środków w celu wytępienia „herezji". O bynajmniej! Liczne pogromy marjawitów, masowe wydalania ze służby najemników marjawickich przez pracodawców — Katolików, obrzydliwa dwulicowa gra Kleru Katolickiego, który w Petersburgu przedstawia marjawitów za zamaskowanych socjalistów, a w Warszawie za zamaskowane prawosławie — wszystkie te środki puścił w ruch Kler Katolicki, lecz energiczniejszych, więcej barbarzyńskich środków użyć nie mógł, gdyż nie ma biedactwo „świeckiego ramienia", nie ma na swoje usługi potulnego państwa—wykonawcy;— a „panujące" prawosławie, które już utraciło połowę wiernych na rzecz różnych sekt i traci ich coraz więcej, z pewną schadenfreude patrzy na kłopoty Katolicyzmu.

Dzięki temu zbiegowi okoliczności narodziny marjawityzmu miały miejsce w warunkach względnie pomyślnych—w porównaniu naprzykład z narodzinami chrześcijaństwa, reformacji protestanckiej lub sekt rossyjskich. Oczywiście jest to pomyślność względna, zrozumiała tylko w świetle historji—bo mierząc sprawę elementarnymi postulatami kultury XX-go wieku, marjawici byli, a nawet są prześladowani przez Kler Katolicki, rząd zaś mocno krępuje ich działalność (trudności przy legalizacji, przeszkody w zakładaniu polskich szkół, nieuznanie niektórych ich przedsiębiorstw za własność zbiorową i t. d.).

II.

Lecz wracajmy do Mateczki Kozłowskiej. Koło piątej po południu przez furtkę w grubym i wysokim murze wchodzimy ścieżką pomiędzy dwoma murami na dziedziniec z ślicznym otwartym widokiem na Wisłę. Idziemy nad urwisty brzeg rozejrzeć się w przepięknej panoramie. Furtka była otwarta, a i tutaj nikt się do nas nie zbliża i nikt o nic nie pyta. Idziemy dalej. Duży owocowo-warzywny ogród, bardzo starannie utrzymany. Po ogrodzie chodzą mniszki w białych welonach i niebieskich pelerynach, lecz znów nas, jakby nie zauważono. Wreszcie, nieco zdziwieni tą ogólną obojętością, chwytamy jakąś białogłowę, która nas szczęśliwie prowadzi do Mateczki.

Mateczka przyjęła nas najzwyczajniej w świecie, w zwyczajnym salonie, jak tysiące mieszczańskich salonów w Warszawie, z uprzejmym uśmiechem gospodyni domu, przyjmującej gości... Byliśmy (my—t. j. ja i moja żona) wprost rozczarowani. Czekaliśmy czegoś niezwykłego.

Do oglądania zakładów Mateczka dała nam na przewodniczkę siostrę „Illuminatę". Tu byliśmy wprost zdumieni. Przedewszystkiem sama „siostra" zdradzała z każdego słowa i gestu osobę niezmiernie wykształconą i dobrze wychowaną. Jak się później dowiedziałem, jest to pani Nowakowska, młoda i bardzo zamożna wdowa, która cały swój majątek poświęca na ochrony, szwalnie, warsztaty i t. p. A następnie to, co nam pokazywała siostra Illuminata było istotnie godne widzenia: warsztaty tkackie, szwalnie, pończoszarnie, warsztaty wyrobów słomkowych, śliczny ogród, a wreszcie korona wszystkiego, skąd wychodzą prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju — pracownie hafciarskie i... malarskie. Nie pominęliśmy również ochronki, dużej, widnej, z ścianami zawieszonemi sztychami, z miaczałami i roślinami w gablotkach. Uranja czy co?

Zagadka nieco mi się wyjaśniła, gdy poznałem dwóch przyszłych duchownych marjawickich, z których jeden kończył fakultet przyrodniczy w Paryżu, a drugi w Lipsku... W szwalniach, warsztatach i ogrodzie pracują siostry, przedewszystkiem zarabiają w ten sposób na utrzymanie, a następnie przechodzą kurs ochroniarstwa i rozjeżdżają się na parafie, z których każda obowiązkowo zakłada ochronkę.

Wszystko to niezmiernie mi się podobało i nie taiłem mojego zachwytu. Ale — jest jedno małe ale. Po kiego licha te siostry, bracia, cały ten celibat? Rozumiem — wzorowe warsztaty, wzorowy ogród i szkoła ochroniarek. Cudownie, tylko po co to wszystko zakapturzone w mnisią skórę? Niewątpliwie dziś ci ludzie przejęci swoją ideją będą przestrzegali

---

tworną w swej skarżącej niedostępności i tarza się w bólu; zrywa się, jak ranne śmiertelnie zwierzę, z charkotem, z rykiem; pędzi na oślep i wpada w szpony krwawego potwora; chyli się, opada; ciało się kurczy, wypręża, podrywają je ruchy rytmiczne; oślizgłe, wilgotne węże oplatają dłonie, usuwa je z wstrętem, stacza się w przestrzeń, w ciszę, zapomnienie.

Roman obudził się uczuciem bólu w całem ciele, jakby uległ zgruchotaniu, zmiażdżeniu. Spojrzał na zegarek: godzina była późna. Nie zdawał sobie sprawy ze swego stanu. Zapewne spał — bez wątpienia, wszak wiedział, o której mniej więcej godzinie mógł był wrócić do domu.

Ciężko zwlókł się z kanapy i podszedł do okna. Dzień był posępny, mglity. Zapalił papierosa. Chodził po pokoju, bezmyślnie przyglądając się sprzętom, przekładając książki, bez chęci zajęcia się czemkolwiek. Usiadł przy biurku, przewracał leżące przed nim pisma, listy. Poruszył się raptownie, zbudzony ze stanu odrętwienia boleśnie przejmującą chęcią przypomnienia sobie wszystkiego, czem mógłby wytłómaczyć swój stan obecny. Pochylił głowę, sparł czoło na dłoni.

Wspomnienie z zalotnością złośliwą zajrzało mu w półprzymknięte oczy:

— Pamiętasz?... Sala balowa, z początku nuda, blichtr banalnych, tanich efektów... ...Taniec, długi taniec... Twarz blada, opuszczone powieki, usta lekko drgające...

Dreszcz wstrząsnął ciałem. Fala gorącej krwi— zgroza, wstyd. Usta kurcz ścisnął. Począł szybko biegać po pokoju, sycząc:

— Zwierz, zwierz...

Szyderstwo rzuciło w duszę pytanie:

— To jest twoja „jedyność", którąś niedawno w „świętej" twej chwili objawił? Hi hi hi hi... A co zrobiłeś z tą, obcą ci, która na chwilę zwisła na twym męskim, potężnym ramieniu?... Po to, abyś mocy swej samczości nad nią doświadczył, oszołomił, zbrukał i rzucił, jak ścierkę?... A ty sam?... Jakże słabe jest twoje męskie ramię, gdy w ślepiach chuć ci zagorze, jakże nizko umiesz upaść, ty — głoszący „jedność"... Idź teraz do niej, powiedz, czem jesteś; zrzuć pozę samczej dumy; powiedz, żeś zwierzę wiecznie głodne, fałszywe, przebiegłe, głód pokrywające butą rycerską—powiedz jej to, czy nie rzuci ci w oczy obelgą?...

celibatu, pracując przytem produkcyjnie, lecz z czasem zacznie się to samo co w Katolickim Kościele: z jednej strony ascetyczno-mistyczna erotomanja z Jezusem Oblubieńcem, z drugiej potajemna prostytucja. O ile lepiej byłoby zawrócić z tych starych dróg, które wiadomo dokąd prowadzą i prowadzić muszą! Narody protestanckie są dużo moralniejsze od Katolickich, nie pomimo tego, a dla tego, że celibat duchownych jest u nich zniesiony. Wiadomo, że synowie pastorów wychodzą na bardzo pożytecznych ludzi, a Rusini galicyjscy zawdzięczają właściwie całą swoją kulturę narodową dzieciom duchownych. To był jedyny zarodek rusińskiej inteligencji. Czemuż u nas mają się te siły marnować? Jeżeli znów chodzi o służbę w „miłości bliźniego", to kochać ludzi naprawdę może tylko ten, kto ich rozumie. Asceta przestanie rozumieć ludzi, a potajemnie trudniący się prostytucją duchowny skala swój charakter, co się odbije na całem jego postępowaniu. I tak źle i tak niedobrze.

Marjawityzm zrobiłby niewątpliwie jeszcze jeden krok naprzód, gdyby zniósł celibat zarówno u swoich księży, jak i u sióstr—zakonnic.

III.

Dotąd jednak marjawityzm jest w okresie górnej i chmurnej młodości i ujemne skutki celibatu jeszcze nie dały się uczuć. Praca wre i kipi we wszystkich dziedzinach. Z 34-ech parafji marjawickich, jakie są w Królestwie, tylko w 7-miu niema jeszcze ochronek. Jest niezmiernie ciekawe, że w ochronkach tych uczą się często dzieci żydowskie, oczywiście nie doznając żadnych przykrości z tytułu swego pochodzenia. Szeroka, prawdziwie chrześciańska tolerancja marjawitów zjednała im sympatje żydów. W ochronie w Piątku np., na 70 dzieci jest 30 żydowskich. Dzieci żydowskie nie są bynajmniej nawracane na „prawdziwą" wiarę. Że taką drogą pójdzie asymilacja *mas* żydowskich w głuchych zakątkach prowincji—tego chyba nikt nie przewidział. W pozostałych jest przynajmniej ochronka. W bardzo wielu obok ochronki mieści się szkółka, szpital, w niektórych warsztaty tkackie, szewckie, stolarskie, a nawet szkoły koszykarstwa, współdzielcze sklepy spożywcze, kąpiele ludowe. Kościoły parafjalne w Wiśniewie (ks. Roztworowski), Cegłowie (ks. Wiechowicz), Lesznie (ks. Furmanik) są formalnie otoczone całą siecią przeróżnych instytucji kulturalnych i zarobkowych. Ks. Roztworowski, podobnie, jak p. Nowakowska, jest filantropem, który bardzo umiejętnie popiera pracę społeczną. W Łodzi, pod kierownictwem ks. Kowalskiego, powstaje budowa tanich mieszkań. W Zgierzu „dom parafjalny" mieści także kilka różnych instytucji.

Niepodobna wszystkiego wyliczać, a projekty na najbliższą przyszłość obejmują również cały szereg bardzo doniosłych prac, jak urządzenie zbiorowych ręcznych warsztatów tkackich, słomkowych lub szwalni po wsiach, aby dać zajęcie i zarobek włościanom w zimie, jak założenie ogromnych szkółek drzewek owocowych dla sadów włościańskich i t. d.

Słowem „ojcowie" marjawiccy studjują z zapałem budownictwo, rolnictwo, ogrodownictwo, nauki przyrodnicze, co im się niezmiernie chwali.

Zresztą ich nastrój umysłowy doskonale odzwierciadlają dwa pisma, jakie wydają: *Wiadomości Marjawickie*, bardziej popularne i związane z życiem, oraz tygodnik *Marjawita*.

W Wiadomościach Marjawickich z roku bieżącego znajdujemy cały szereg popularnych artykułów z dziedziny rolnictwa, sympatyczne artykuły o kółkach Staszycowskich, o kooperatywach, o działalności międzynarodowego związku studentów chrześciańskich, gdzie rej wodzą protestanci, wreszcie artykuł, zatytułowany „*Marjawityzm Mickiewicza*", gdzie autor dowodzi, iż Mickiewicz w swoim czasie podobnie jak Marjawici dzisiaj czuł potrzebę wyzwolenia się z więzów hierarchji Katolickiej i zwrotu do ideałów miłości czystego chrześciaństwa.

W tygodniku *Marjawita* zwracają uwagę dobre i liczne kopje obrazów. Dłuższe studjum „początek i jedność rodzaju ludzkiego świadczy o istnieniu Boga" stara się pogodzić wiarę i wiedzę. Wiedza nie jest przy tej sposobności okrojona i autor zaleca studjowanie nauk przyrodniczych, twierdząc, iż im się je bardziej zgłębia, tem więcej człowiek zbliża się do Boga. Doskonale. Wiedza nie obawia się wiary... Egzegeza pisma św., historja marjawityzmu, wreszcie bardzo ciekawa praca pióra p. Kozłowskiej wypełniają resztę zeszytów.

P. Kozłowska robi proces á travers les âges Katolicyzmowi, dowodząc, iż z chwilą gdy stał się religją panującą w Rzymie zatracił w sobie ducha chrześciańskiego, który dopiero w reformacji i obecnie w marjawityzmie został odrodzony...

Powstał, ociążałym krokiem parę razy przeszedł wzdłuż pokój, po omacku znalazł palto, wiszące na ścianie, ubrał się i wyszedł. Zstępując ze schodów, zatrzymał się, jakby chciał sobie coś przypomnieć, czy po coś wrócić. Zniecierpliwiony próżnym wysiłkiem szybko postąpił naprzód i wyszedł na ulicę. Była mgła. Błądził przez prawie puste ulice, skręcał w przecznice, powracał na dawne miejsca, nie zauważając tego. Zwolnił kroku. Rozejrzał się. Odszedł był daleko od domu. Bez namysłu skręcił w jedną z przecznic, przeszedł parę zupełnie pustych ulic, zatrzymał się przed jednym z domów: 23 — ona tu mieszka. W tej chwili dopiero poczuł niezłomne postanowienie i niezwalczoną chęć zobaczenia jej.

Wszedł na schody pewnym krokiem. Zadzwonił. Otworzono drzwi; na pytanie, czy jest w domu, otrzymał odpowiedź twierdzącą. Zapukał. Usłyszał przez drzwi znajomy głos i wszedł bez wahania.

Była sama. Witając się, zauważył, że miała twarz bladą, znużoną. Doznał jednocześnie wrażenia, jakby zapomniał, po co tu przyszedł. Poczuł na sobie badawcze spojrzenie.

— Pan jeszcze po balowemu?

Spojrzał przelotnie w lustro i zmieszał się widokiem zmiętego kostjumu, swej twarzy szaro-bladej, napiętnowanej okropnością tej nocy. Usiłował opanować wzruszenie bezładnemi ruchami do głowy, bezradnym poprawianiem kołnierza, mankietów.

— Dobrze pan się bawił? Ja wspaniale...—uśmiecha się.—Pan bardzo znużony?

Nie znajdował odpowiedzi, nie umiejąc określić stanu, w jakim się znajdował.

— Dlaczego pan tak znikł? — niech pan żałuje. Po balu nie miałam ochoty wracać do domu i wie pan, ten — jak go tam nazywacie? — ten wesoły Jaś podał mi bajeczną myśl: wzięliśmy powóz i pojechaliśmy daleko, za miasto. Była taka cisza, że śmiech nasz wydawał mi się gwałtem nad bezbronną świętością... Było wspaniale, wspaniale... Jeździliśmy do świtu. Ten Jaś wspaniały chłopiec—pan go zna?

— Tak, ale mało. Podobno, bardzo wesoły...

— Bajecznie, bajecznie.

Chwila milczenia.

— Co panu jest? Niech pan nie będzie tak grobowo poważny, niech pan co powie...

— Właśnie przyszedłem powiedzieć pani to, o czem myślałem.

— Dzisiaj? kiedy? wczoraj, rok temu? A pra-

Wogóle marjawityzm, mimo swoich usterek (celibat—przedewszystkiem), wydaje mi się być dodatnim czynnikiem naszej kultury, szczególnie od czasu, gdy śmiało wkroczył na drogę prac społecznych i szerzenia oświaty.

Jerzy Kurnatowski.

WYSTAWA PRZECIWALKOHOLICZNA.

Młody jeszcze w naszym kraju ruch przeciw alkoholiczny złożył ostatnie dowody żywotności urządzeniem wystawy — poglądowej lekcji społecznej o szkodliwości alkoholu. Jako pierwsza tego rodzaju wystawa zdumiewa obfitością materjału. Tablice statystyczne, wskazujące wpływ alkoholizmu na różne sfery życia społecznego, szerzenie się chorób, śmiertelnosć, liczbę przestępstw, na stan ekonomiczny narodu—są tak wymowne, że szerszy ogół winien rozpatrzeć się w tym interesującym materjale, aby zdać sobie sprawę z grożącego nam niebezpieczeństwa, uznać wreszcie ruch przeciwalkoholiczny, za przykładem kulturalnych społeczeństw, za sprawę pierwszorzędnej wagi dla celów i zadań postępu. W żadnej być może sferze życia niema tak niedorzecznych, a zakorzenionych przesądów, jak w sferze „przekonań" o wpływie alkoholu, szczególniej u nas, gdzie ciąży jeszcze nad życiem towarzyskiem tradycja tych „dobrych czasów saskich", kiedy to pijaństwo polskie stało się w świecie przysłowiowem.

Wystawa obejmuje cztery działy:

1). alkoholizm i jego skutki (tablice, preparaty, wydawnictwa).

2). walka z alkoholizmem (działalność Towarzystw wstrzemięźliwości, polepszenie warunków życia klasy robotniczej, domy robotnicze).

3). leczenie alkoholików, (specjalne zakłady lecznicze i dane statystyczne).

4). alkohol w przemyśle i technice.

W dziale pierwszym, najbogatszym zgromadzone są dane, dotyczące działania alkoholu na organizm w dawkach mniejszych i większych, wpływu alkoholu na szerzenie się chorób i ich przebieg, na ogólną liczbę śmiertelności i chorobowości, na liczbę i rodzaj przestępstw, na ekonomiczne warunki pojedynczej rodziny i całego kraju. Szczególnie interesujące są dane, wskazujące zabójczy wpływ alkoholu na ustrój dziecka, na postępy jego w nauce, oraz udział nałogu rodziców, jako momentu przyczynowego w zwyrodnieniu potomstwa. W dziale tym przedstawiono szereg tablic graficznych inż. Rączkowskiego, wykazujących ilość spożywanego u nas alkoholu, dane z pogotowia Ratunkowego; tablice, dotyczące używania alkoholu przez dzieci w Warszawie, oraz statystyka używania wyskoku przez młodzież szkolną, opracowana przez pp. W. Szukiewicza i J. Glasa.

Dział drugi obejmuje wszystkie środki, używane w walce z alkoholizmem.

Zebrana jest literatura antyalkoholiczna w różnych językach i polska, począwszy od roku 1860, kiedy został zainicjowany u nas ruch wstrzemięźliwości; statystyka towarzystw wstrzemięźliwości u nas i na Zachodzie, ich rozwój i działalność: prawodawstwo w walce z alkoholizmem: system geteborski, w Szwecji i Norwegji, „localoption" t. j. prawo, pozostawiające instytucjom samorządnym miejscowym możność zakazu sprzedaży trunków i „prohibition" t. j. prawo, zabraniające w całym kraju wyrobu i sprzedaży napojów wyskokowych. Reprezentowane są również wszelkie urządzenia, mające na celu polepszenie warunków życia klasy robotniczej; ulepszone i tanie mieszkania dla robotników, spółki współdzielcze, domy ludowe, miasta — ogrody i t. p.

Dział trzeci, dotyczący leczenia alkoholików, ważny jest z tego względu, że podkreśla znaczenie alkoholizmu, jako choroby, którą należy leczyć. Zapoznajemy się tutaj z zakładami leczniczemi, przeważnie szwajcarskiemi i niemieckiemi. Odpowiednie tablice wskazują sprawność mieśniową, zdolność, energję, pamięć abstynentów w przeciwieństwie do osłabienia, uwiądu władz umysłowych u alkoholików.

Dział czwarty poświęcony jest całkowicie zastosowaniu alkoholu w przemyśle. Wiele większych gospodarstw rolnych opiera się u nas na gorzelnictwie, którego byt byłby zagrożony, gdyby zbyt alkoholu został ograniczony. Są tacy, którzy chcą w tem widzieć niebezpieczeństwo dla bytu ekonomicznego narodu(!) i występują w obronie alkoholizmu.

Należy tym obrońcom przypomnieć, że nie wolno czerpać miljonów ze źródeł, zatruwających mieszkańców. Powtóre alkohol, jak wykazało doświadczenie ostatnich lat, znaleźć może zastosowanie w różnych gałęziach przemyłu, jako środek do oświetlenia,

---

wda... O czem pan chce mówić — o sobie, o mnie? proszę. Chciałabym dzisiaj słuchać długo, długo, zasłuchać się...

— Czy dlatego, aby uwolnić się od własnych myśli?

— A może—żywo, badawczo spojrzała mu w oczy. Nic z nich nie wyczytała i ruchem do głowy pokryła lekki niepokój.

— Pan lubi taniec? Posiadał pan według mnie całą wewnętrzną jego treść.

— Mało wogóle tańczę.

— I zawrotnie — dodała, jakby niesłysząc jego słów: cicho, nieznacznie uśmiechnęła się. Nagle zmieszała się, unikała jego spojrzenia; sięgnęła wolno po jeden z leżących na stole zwiędłych kwiatów i porwała go w strzępy.

Chwila milczenia.

Postanawia z niej skorzystać, aby powiedzieć to, z czem do niej przyszedł. I mówić zaczyna głosem równym, spokojnym, rozważnie przeglądając swe myśli. Mówi jej, czem jest ta wewnętrzna treść tańca, ten wir ślepy, zawrotny, pędzący ciała rozkołysane... I pyta, czy pomyślała, że gdyby jedna para oczu z tych setek, otaczających ich wtenczas, gdy razem tańczyli, należała do człowieka, któryby szukał w niej piękna po za pięknemi kształtnej linji bioder i ust, chciał w niej kochać coś więcej po nad urok nęcenia głodnych, samczych spojrzeń,—czy wtenczas te oczy z tłumu — jedyne, tęskniące za innem pięknem, nie zaszłyby krwią i widok tej wirującej, opętanej chucią pary nie zbudziłby w jego głowie żądzy żrącej, bólem swym cały świat duszy ludzkiej unicestwiającej, zbrodniczej.

I cichym, syczącym głosem mówi, nie śmiąc oczu na nią podnieść, że wtedy, po balu, gdy wrócił do domu, powróciło za nim natrętne wspomnienie — wszystko powróciło spotworniałe wyobraźnią i zażądało brutalnego czynszu—zdusiło, zdławiło i rzuciło, odchodząc zamiast kwiatów tych, niegdyś wonnych, tam, na sali balowej—ochłap krwawy, cuchnący, wyrwany z jego piersi.

Powstał, zatopił w jej oczach okrutne, szarpiące za trzewia spojrzenie, szukając po za jej wolą wewnętrznego porozumienia i już nie panując nad sobą, zdławionym głosem mówił:

— Pluń mi w oczy, słyszysz! Ja tę zbrodnię spełniłem, ja cię dzisiaj...

Zaśmiała się ostrym, długim śmiechem. Urwała

ogrzewania, dostarczania siły do maszyn, a także w produkcji licznych przetworów chemicznych.

Dział ten, opracowany przez inż Rączkowskiego, obficie jest reprezentowany na wystawie i wskazuje, że inicjatorom wystawy nie tylko chodziło o wykazanie szkodliwości alkoholu, jako napoju, lecz również o wykazanie wszelkich jego korzyści w przemyśle i gospodarstwie domowem.

Miejmy ufność, że wystawa przeciwalkoholiczna przyczyni się znacznie do ożywienia ruchu wstrzemięźliwości, co do konieczności którego wszelka wątpliwość upada po rozpatrzenin się w bogatym i wszechstronnym materjale, przedstawionym na wystawie.

W. G.

AFRODYTE.

„Miłości! czemu ty jesteś szczęściem dla wszystkich zwierząt, a tylko dla jednego człowieka nieszczęściem? — Bo tylko strona fizyczna miłości daje rozkosz, strona duchowa — przeciwnie."

Tę cytatę z Buffona wziął Piotr Louys za motto do swej „Afrodyty". Nie znaczy to jednak, aby Loujjs uznawał w miłości tylko stronę fizyczną; przeciwnie, stawia on o wiele wyżej jej drugą stronę, tę właśnie, która sprawia cierpienie, która daje największą sumę wrażeń.

Słowa Buffona właściwie możnaby wziąć jako motto całej twórczości literackiei Louysa. To też zrobił on bardzo słusznie, umieszczając je na pierwszej stronnicy swego głównego dzieła. Wystarczy bowiem przeczytać „Afrodytę", aby nabrać dokładnego pojęcia o rodzaju talentu Louysa, a nawet o wszystkieh jego właściwościach aż do najdrobniejszych szczegółów.

Louys,, jak w większości swych utworów, przenosi nas tutaj do czasów starożytnych na wschód, na słoneczne wybrzeża morza Śródziemnego. Lecz czy właściwie tylko nas przenosi on do swych czasów piękna i harmonji? Czy raczej nie szuka ucieczki sam przed rzeczywistością, stwarzając sobie drugie życie w przejrzystej i lekkiej atmosferze sztuki starożytnej Grecji? Ttanowczo tak jest. Prawie wszystkie utwory Louysa wywołują przed nasze oczy bądź to misternie wyrzynane wybrzeża Grecji, bądź szeregi wysp morza Egejskiego, lab wreszcie greckie miasta Azji Mniejszej i Egiptu, i to naturalnie za tych czasów, kiedy... no, krótko mówiąc za tych czasów, o których jedynie teraz się pisze. pisząc o Grecji.

Ostatecznie w tym wyborze czasu i miejsca możnaby widzieć tylko zwykłe zamiłowanie do klasycyzmu greckiego, lecz powieść Louysa „Przygody króla Pauzola" świadczy aż nazbyt wyraźnie, że to ciągłe przebywanie młodego autora w świecie starożytnym jest jednakże przejawem jego właściwego nastroju, nastroju ogromnie pospolitego i zrozumiałego w obecnych warunkach życia społecznego. „Przygody" bowiem jest to romans fantastyczny. Ni mniej, ni więcej. Romans fantastyczny, który tak zupełnie wyszedł z mody w ciągu ostatnich dziesiątek lat. Król Pauzolus jest władcą Tryfemu, półwyspu, połączonego z Hiszpanją u stóp Pireneów — półwyspu, który gieografowie, pozostawili na mapach niebieskim wśród wód morza Śródziemnęgo — i dla tego nikt nie wie o tej krainie marzeń o niebieskich migdałach, cieszącej się jednak najbardziej ziemskiem szczęściem. Wśród poczciwych Tryfemczyków wypoczywał Louys po szarpiącem nerwy życiu ustroju kapitalistycznego i ten sam wypoczynek daje mu harmonja starożytnej Grecji. Louys jednak jest prawdziwym artystą, a więc i czytelnik oddycha wraz z nim swobodnie wśród ciszy Tryfemu i pod łagodnem słońcem tych krajów, gdzie nieskomplikowany ustrój społeczny nie przedstawiał nic olbrzymiego, nic nieznanego, nic trudnego do zanalizowania i zrozumienia, a jednak uczuciowo oburzającego.

Twórczość artysty jest silną i głęboką, gdy potrafił on stworzyć sobie syntezę świata otaczającego, społeczeństwa, w którem żyje. Synteza ta, ten światopogląd musi być szczery u artysty właśnie przedewszystkiem, wrośnięty w niego i połączony z jego najtajniejszemi drgnieniami świadomości, gdyż artysta musi być soba, — sobą, jednostką samodzielną i jednolitą. Lecz w obecnych warunkach społecznych trzeba do tego dużo siły i śmiałości. Na coś podobnego zdobył się Emil Verhaeren i Jerzy Eckhoud. Piotr Louys tego nie dokonał; nie potrafił lub nie zechciał. I dlatego zwrócił się do krain i czasów odległych, gdzie panuje prostota, gdzie wśród światła i pogody łatwo jest tworzyć piękno; i dlatego także udał się do dziedziny marzeń, gdzie łatwo jest snuć wątek poetycznej i lekkiej fantazji, uśmiechając się z wytworną, attycką ironją z poczciwych bohaterów niebieskiej krainy. Camille Mauclair zrozumiał, cze-

---

nagle. Usta jej drgnęły. Policzki owionął raz po raz rumieniec. Rzuciła kilka spojrzeń, niby od niechcenia, w kierunku okna. Mówić zaczyna, gestami bez treści, uśmiechem wymuszonym starając się pokryć zmieszanie.

— Niech pan się uspokoi.., panu o to chodziło? Po co o tem mówić? Ten sen, to marzenie—to zbrodnia?... Zabawny pan jest... Któż pana upewnił, że inni i *inne* podobnych nie przeżywają?

Ożywiajac się:

— Smieszni wy jesteście—chcecie z nas zrobić aniołów? Pięknem jesteśmy, ale nam nie wolno niem żyć, bo nasze piękno tylko do was należeć powinno?...

— Chcielibyście może odmówić nam prawa marzyć pięknie, po ludzku? A jeżeli piękno nasze i wasze istnieć może, jako piękne nieskalane, gdy w śnie, w marzeniu pragniemy i posiadamy się wzajem?—pan to zbrodnią nazywa?.. Śmieszny pan jest. Tak mówię, bo wierzę w pańską szczerość...

Głos jej drży, załamuje się, przechodzi w szept.

— To nie zbrodnia. Ja...

Po chwili:

— Gdy pan szedł do mnie i spojrzałam na pana... Zresztą po co o tem mówić?..

— Po co pan tak brutalnie o tem mówił? Czy nie powinno się zostawiać tego domyślności, wyczuwać, chować w swej głębi, kochać i pieścić w sobie jako to najpiękniejsze, co życie dać nam może?— ostatnie wyrazy wymówiła ledwie dosłyszalnym szeptem.

Milczał z głową na piersi zwieszoną.

Po chwili, znów ożywiając się:

— Śmieszny pan jest! masz takie nieszczęśliwe, zgnębione oblicze... Tak mówię, bo czuję w panu szczerość. Wypogódź pan twarz, proszę, tylko zaraz — tak brzydko i niepotrzebnie, a na pocieszenie powiem panu, że pan bajecznie tańczy...

Powstał, aby się pożegnać; rażony, jak policzkiem wymownie zachęcającem spojrzeniem i filuternie przebiegłym uśmiechem, zamarł na chwilę w poczuciu bezbronnego wstydu, bolesnego upokorzenia. Usta zaciśnięte kurczowo więziły cisnącą się do krtani obelgę. Bez słowa pożegnał się i wyszedł.

R. Zahorski.

go brak twórczości Louysa: „Chciałbym — pisał ten krytyk o Louysie w „Mercure de France“ — widzieć u niego większy polot myśli, inne, szersze widnokręgi przy rozważaniu życia wewnętrznego, więcej ludzkości i burzliwości...“

Niema jednak złego, coby na dobre nie wyszło: właśnie to ograniczenie horyzontów, to zrezygnowanie z dzieł na większą miarę pozwolilo Louysowi dać nam utwory wykończone w każdym szczególe, pełne niezrównanego wdzięku, prostoty i swobody. Styl stanowi przedmiot podziwu wszystkich krytyków francuskich. Rzeczy Louysa czytają się lekko, opowiadanie bowiem rozwija się zawsze harmonijnie, równo, jasno, bez dysonansów i skoków. Louys ma specjalne upodobanie w czystości linji, w zarysach wyraźnych i dokładnych; czuć, że wszelka mglistość jest dla niego niemiłą. Z tą wytwornościa stylu łączy Louys pewną wytworność treści: unika on targania nerwami czytelnika, ogranicza się do delikatnego ich łechtania. Postacie jego, chociaż realne, są poetyczne; wieje od nich pewien urok romantyzmu. Szczegóły, które u innych byłyby pornograficzne, są u niego nietylko naturalne, ale nawet romantyczne. Ta cecha ma wielkie znaczenie dla twórczości Louysa, gdyż, jak wyżej zaznaczyliśmy, zajmuje się on wyłącznie miłością, przeważnie miłością zmysłową. Wszystkie jego utwory, poprzedzające „Afrodytę“,—rzeczy drobne wyłącznie — opiewają miłość, a w miłości kobietę, nigdy mężczyznę. Druga część „Bilitis” jest do pewnego stopnia apoteozą, a w każdym razie usprawiedliwieniem, jednopłciowej miłości między kobietami, w której Louys więcej widzi szczerego uczucia niż deprawacji i zwyrodnienia. Strona płciowa miłości jest zawsze tak silnie podkreślona u Louysa, że uwadze wielu krytyków uszło, iż w rzeczywistości kładzie on większy nacisk na stronę duchową, chociaż rozumie dobrze całe niebezpieczeństwo zbyt silnych uczuć.

Losy Chrysis i Demetriosa „Afrodyte“, są tego ilustracją.

Chrisis mieszkała w białym domku nad brzegiem morza w Aleksandrji, mieście może najbogatszem i rozwijającem największy przepych za owych czasów — czasów upadku republiki rzymskiej. Złotowłosa ta kurtyzana (Chrisis znaczy złota) pędziła życie miłe, spokojne i regularne: od siedmiu lat t. j. od tego dnia, gdy jako dwunastoletnia dziewczyna osiadła w swym przybytku sprzedajnej miłości, tylko trzy noce przespała samotna. Codzień wstawała popołudniu, z rozkoszą przeciągała członki w ciepłej kąpieli, z zadowoleniem oglądała klejnoty, w które stroiła ją niewolnica, poczem owinięta w przejrzystą materję wychodziła na miasto i nigdy nie wracała sama. Doprawdy, niczego nie brakowało jej do szczęścia. Aż pewnego wieczora to życie ją znudziło, zapragnęła uczuć nowych i silnych, zapragnęła miłości. Oczy jej nabrały dziwnego blasku, „spojrzenie ich było śpiewem syreny; ciało jej stało się giętkie i falujące; włosy jakby nabrzmiały od pragnień miłosnych — i tak piękna rzadką pięknością wyszła nad morze. Ujrzał ją taką rzeźbiarz Demetrios, kochanek królowej Berenice, Adonis aleksandryjski, ścigany miłością wszystkich kobiet. Chrisis, przechodząc obok, nie spojrzała nawet na niego. Demetrios zapragnął jej nagle. Począł kochać. Ten spokojny, rozmarzony rzeźbiarz, oddany jedynie sztuce i unikający ludzi; spełnia trzy zbrodnie, aby uzyskać wzajemność Chrysis. Stosownie do jej polecenia kradnie zwierciadło kurtyzanie Bacchis, zabija kapłanke Touni, aby zabrać jej grzebień i wreszcie dopuszcza się świętokradztwa, unosząc naszyjnik pereł z posągu Afrodyty, stojącego w świątyni, a wykutego w marmurze przez niego samego. Gdy wszakże tych zbrodni już dokonał poczuł, że miłość jego dla Chrisis znikła. Zrozumiał jednak, że jego uprzedni niezamącony spokój i zwierzęce zaspakajanie popędu płciowego — to nie życie. Życiem są te silne uczucia, które przez krótki czas przepełniały jego istotę. Zrozumiał też, że cała jego twórczość artystyczna była zamało ludzka, że forma wydawała mu się zbyt ważną, a to co jedynie jest godne odtwarzania — głębie uczuć ludzkich — uchodziło jego uwagi. Na to wszystko otworzyła mu oczy — miłość.

Działanie potęgi miłości widzimy też w życiu Chrisis. Demetrios żąda od niej, aby ustroiła się w skradzione dla niej klejnoty i tak ukazała się ludności Aleksandrji, wzburzonej tym szeregiem tajemniczych zbrodni. Wzamian zato obiecuje przyjść do niej do więzienia w nocy przed jej straceniem. Chrysis znajduje się w ekstazie miłosnej, nie chce zapomocą drobnych, codziennych środków pozyskiwać miłości ukochanego człowieka. W duszy jej niema już miejsca na rzeczy nizkie, małe, niegodne jej wielkiego uczucia. Takie zakończenie życia nęci ją i pociąga swym romantyzmem, swą wewnętrzną zgodnością z jej podniosłym nastrojem miłosnym; instynkt samozachowawczy wstrzymuje ją przez chwilę: „a jednak — myśli Chrisis na parę godzin przed spełnieniem czynu, wymaganego od niej przez Demetriosa— jaką piękną śmierć on jej wybrał! Wobec tłumu nieprzeliczonego ukazać się ze starożytnem zwierciadłem, w którem Safo się przeglądała, z grzebieniem, który podtrzymywał królewskie włosy Nitaukrit, w naszyjniku z pereł morskich, bogini, zrodzonej przez fale morza... A potem w ciągu nocy poznać z uniesieniem to wszystko, co tylko miłość najbardziej płomienna może dać uczuć kobiecie... i, koło południa umrzeć bez wysiłku... Jakiż los wymarzony!

Chrysis przymknęła oczy...“

I ostatecznie ukazuje się tłumowi na krużganku latarni morskiej, a nazajutrz Demetrios rzeźbi wedlug jej martwego ciała posąg Życia Nieśmiertelnego. —

„Kobieta i marjonetka“, jedyna rzecz Louysa — oprócz paru drobnych nowel — zaczerpnięta z życia współczesnego, przedstawia jeszcze raz to samo: miłość Don Matea jest jednym szeregiem cierpień, a jednak wraca on ciągle do tej, która je mu zadaje, zgodnie ze starem zdaniem: cierpieć to żyć.

* * *

Talent Louysa posiada jeszcze jedną odrębną cechę. Cecha ta — to pewna wikwintna niedbałość, uśmiech leciutko ironiczny, który stwarza specjalną atmosferę w jego niektórych nowelach, a przedewszystkiem w „Przygodach króla Pauzola”. Mimowoli widzimi Louysa takim, jakim sam siebie opisuje w „Nowej rozkoszy“: „Pewnej nocy siedziałem tam (w swojem mieszkaniu) pogrążony w milczącej rozmowie z dwoma kotami z niebieskiego fajansu, przyczajonymi na białym stole i wahałem się, jaką by wybrać z dwóch rozrywek samotności: czy pisać sonet prawidłowy, paląc papierosy, czy palić papierosy, patrząc w sufit... Tego wieczoru miałem zamiar pisać, zaś ochotę — nic nie robić; innemi słowy był to wieczór, podobny zupełnie do wszystkich innych i przeznaczonem mu było skończyć się przed kartką dziewiczo czystego papieru...“

Autor ironizuje tu siebie w taki sam subtelny, pobłażliwy sposób, jak w „Przygodach króla Pauzola ironizuje tego dobrotliwego monarchę, któremu los pozwala urzeczywistnić marzenie Louysa i zamienić cały swój żywot w jedno nieustające dolce far niente. Nietrudno dostrzedz, jak wiele z siebie włożył Louys w tego ukorowanego leniwca, który, „aby odnaleźć swą córkę, posunął się aż do przebycia siedmiu kilometrów, przebiegając na grzbiecie muła drogę od pałacu aż do swej stolicy”.

* * *

Może najpiękniejszym utworem Louysa jest niedługa nowela „Człowiek w purpurze." W przeciwstawieniu do wszystkich innych jego rzeczy, miłość, erotyzm, nie odgrywają tu żadnej roli. Prawie, że niema o nich wzmianki. Nowela ta jestto rzecz silna siłą posągu Zeusa olimpijskiego, straszna chwilami rozpętaniem tej siły i pogodna jego wyniosłą pogodą.

Ateński malarz Parrhasios, otulony w fałdy purpurowej szaty, ma groźne brwi Zeusa, za których ściągnięciem jak śpiewa Homer w Iliadzie, trzęsły się wierzchołki Olimpu. Parrhasios wymarzył... nie, stworzył potężnym porywem ducha obraz mąk Prometeusza i ze swej wyobraźni chce go przenieść na płótno. Brak mu jednak modelu; niewolnik bowiem, przykuty do skały i torturowany, do Prometeusza podobnym nie będzie. Trzeba mu człowieka wolnego, dumnego i niugiętego. Kupuje więc od Macedończyków Greka z Olintu, miasta sprzymierzonego z Atenami. Przykuwa go na łańcuchu, przypala mu bok i ciało jego w skurczach buntu i bólu odtwarza na płótnie. Ale lud ateński dowiedział się o tych mękach, zadawanych wolnemu Grekowi. Ze złowrogim pomrukiem otacza dom Parrhasiosa, żądając wydania zwłok zamęczonego i grożąc zemstą katowi. Parhasios spokojny, jak bóg chmurowładca, wychodzi na krużganek i ukazuje ludowi swe dzieło. Po chwili skamieniałej ciszy wybuchają szalone oklaski:

Prawdziwemu artyście wolno zdeptać nogami wszelkie uczucia ludzkie, — taki jest sens moralny tej noweli.

Louys sam, coprawda tego nie czyni; jest na to zamało brutalny, zbyt wytworny i zrównoważony, — no, może zresztą zbyt dobrze wychowany; natomiast wyrzuca większą część uczuć ludzkich za nawias swej twórczości i buduje ją, widzieliśmy, tylko na niewielu, coprawda silnych i pięknych.

W. Prószyński.

PIOTR LOUYS. — PIEŚNI BILITIS.

CIENISTY LESIE...

PIOSENKA.

— Cienisty lesie, w którym miałem ją ujrzeć, powiedz, gdzie poszła moja kochanki? — Zeszła na równinę. — Równin, gdzie jest moja luba?

— Poszła brzegiem rzeki.

— Piękna rzeko, któraś ją widziała, powiedz, czy daleko ona stąd? — Porzuciła mnie dla drogi. — Drogo czy widzisz ją jeszcze? — Opuściła mnie dla gościńca.

— O biały gościńcu, gościńcu miejski, powiedz, gdzieś ją zawiódł? — Na złotą ulicę, która wchodzi do Sardes.— O ulico błyszcząca od świateł, czy dotyka cię jeszcze jej bosa stopa?

— Ona weszła do królewskiego zamku.

— O zamku, ozdobo ziemi, oddaj mi ją! — Spójrz, ona ma złote obręcze na piersiach i złote kiście we włosach, sto pereł wzdłuż nóg, dwoje ramion wkoło kibici.

NOC JEST TAK CIEMNA...

PIOSNKA.

— Noc jest tak ciemna i głęboka,
że wchodzi do mych oczu,
— Już nie zobaczysz drogi w lesie...
Zagubisz się w pomroczu.

— Bije o moje uszy
poszumny plusk potoków.
— Głosu kochanka nie usłyszysz
choćby o kilka kroków.

Kwiaty tak mocno pachną,
że mdleję — iść nie mogę.
— Kochanka swego nie przeczujesz,
choćby ci zaszedł drogę.

— Ah, on jest tak daleko,
po drugiej stronie skalnych zboczy,
a ja go wiozę, słyszę, czuję
jak gdyby patrzał w moje oczy.

SMUTNA PIOSENKA.

Żółty-żółwiu, co ty tam robisz?
— Zwijam dla siebie czarne płótno. —
Ach ty! Czemuż nie tańczysz?
— Bardzo mi smutno. Bardzo smutno —

Żółty-żółwiu, co ty tam robisz?
— Skręcam fujarkę na pieśń żałośną. —
Ach ty! Cóżto się stało?
— Nie powiem głośno. Nie powiem głośno.

Żółty-żółwiu, co ty tam robisz?
— W żałobne wieńce stroję korytarz.
Ach ty! Któż to dziś umarł?
— I ty mnie pytasz? Ty mnie pytasz?

Żółty-żółwiu, co ty tam robisz?
— Widzisz... on spadł do morskiej toni... —
Ach ty! Do morskiej toni?
— Z wysoka... ze swych białych koni,
skrzydlatych białych koni!

PIERWSZY MI DAŁ...

PIOSENKA.

Pierwszy mi dał naszyjnik z pereł
za który kupić można miasto
ze świątyniami i pałacami
z mnóstwem klejnotów i niewolników.

Drugi ułożył dla mnie wiersze.
Śpiewał w nich białe moje ciało,
włosy me czarne, jak włosy nocy
i oczy modre, jak oczy ranka.

Trzeci tak piękny był, że matka
wstydziła się, gdy go ściskała.
Objął rękami moje kolana
I pocałował moją stopę.

Ty — ty mi nic nie powiedziałeś.
Nic mi nie dałeś, bo jesteś biedny.
I nie masz pięknych oczu ni ust,
a jednak ciebie kocham.

Przełożył *Henryk S. Kamieński.*

ECHA.

PARĘ SŁÓW O CHEDERACH.

Z Tomaszowa Rawskiego piszą nam:

Odkąd przycichła podjęta kilkakrotnie walka z chederami namnożyła się tego plugastwa liczba nie mała...

Taki Tomaszów posiadający jedną zaledwie żydowską szkołę elementarną, liczy przeszło 50 pokątnych chederów.

Dopóki egzystować będą chedery tego typu co obecnie, wydawać mogą jedynie rezultaty ujemne tak dla zdrowia moralnego jak i fizycznego swoich wychowańców.

Bo któż to jest ów wychowawca, kierownik dusz?

Oto mełamed, osobnik stojący nietylko po za nawiasem wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z oświatą, ale nadto daleki od pojęcia bodaj najelementarniejszego o higienie, pedagogice, a co najgorsza często bardzo będący w kolizji z wymogami etyki.

Rekrutuje się to przeważnie z tanich, „bacherów“, co przejadłszy pare set rubli otrzymanych w posagu, nie mając co robić z sobą, biorą się do założenia chederu.

Tej klasie żydów wydaje się, że dość być żydem wierzącym, praktykującym, aby się wypromować na wychowawcę.

I oto w ten sposób ciemne zacofane, wątpliwej wartości moralnej indywiduum zajmuje tak poważną placówkę, urabia na swoją modłę młodą duszę powierzonego mu przyszłego człowieka, którego później społeczeństwo pociąga do odpowiedzialności za błędy i przywary nie z jego pochodzące winy.

Pomocnikiem mełameda jest belfer kilkunastoletni łobuziak, który jak niesforną trzodę spędza wczesnym rankiem biedne, zaspane, zziębłe dzieciaki do chederu posiłkując się przytem nierzadko kułakiem (nb. edukacja zaczyna się już z czwartym rokiem).

A wszystko po to, ażeby najpiękniejsze lata dzieciństwa spędzić w brudnej, cuchnącej, wilgotnej izbie, której podłoga raz do roku na Wielkanoc spotyka się z mydłem i szczotką, ślęcząc nad foljałami, tę przeważnie dającemi korzyść, że wprowadzając, dziecko zbyt wcześnie w najskrytsze tajniki życia, wypuszczają je człowiekiem do tego życia nie przygotowanym, zacofanym, bezradnym niedołęgą

Jeśli dzieciom chrześćjańskim w szkółkach klerykalnych zapychają mózgi niedorzecznościami, dzieje się to przynajmniej w jakich takich warunkach higienicznych, w przewietrzanej, czystej izbie, z której wyszedłszy dziecko nie znajduje światła deskami zabitym, podczas kiedy dziecko żydowskie wychodzi z chederu jak ślepy szczeniak odrazu na światło wyrzucony.

Nie miejsce tu na wyczerpanie kwestyi, to tylko powiedzieć można, że zamiast takich 50 chederów, wyciągających w sumie poważną cyfrę 25000 rs., możnaby stworzyć parę szkółek elementarnych miast brudnych, szkodliwych fizycznie i moralnie na tego rodzaju co chedery.

NA WIDNOKRĘGU.

Wychodźtwo na zachód i na wschód. — Echa klęski żywiołowej. — Nędza wśród zesłańców i ich rodzin.

Fala wychodźcza, o której wspominaliśmy na tem miejscu, wzmaga się coraz bardziej. Prócz wychodźtwa na Saksy, mnóstwo ludności wiejskiej wędruje do Ameryki, gdzie w przeciwieństwie do wychodźców sezonowych czeka ich przyszłość niepewna—iż przemysł amerykański przeżywa już od dłuższego czasu groźny okres przesilenia. Zakończenia tego kryzysu nie przewidują w najbliższym czasie.

„Najstarsi tutaj osiedleńcy — pisze jeden z korespodentów, nie pamiętają takiej masy rąk bez pracy, takich tłumow włóczących się po ulicy w poszukiwaniu jakiegokolwiek, choćby najmarniejszego zarobku. Do tych tłumów przyłączają się setki nowych przybyszów, nie chcących wierzyć, że dziś trudniej tu o zarobek niż tam na miejscu“.

Nie tylko jednak na zachód prze fala emigracji. Oto przed niedawnym czasem 63 rodziny zamieszkałe w Zagłębiu, wyjechały na Syberję, aby osiedlić się tam na stałe w charakterze dobrowolnych kolonistów.

Każda rodzina otrzymać ma tam około 22 morgów gruntu, a oprócz tego po założeniu kolonji około 400 morgów pod budowę kościoła i szkoły.

Jest to dla kraju zjawisko niepożądane, gdyż opuszczają go żywioły zasobniejsze, któreby mogły z pożytkiem pracować na miejscu.

Cóż jednak mają czynić wobec zdecydowanej postawy agrarjuszów polskich, którzy, parcelując ziemię, stawiają warunki twarde i cenę wyśrubowują w górę. Dzięki temu, na miejsce naszych wychodźców przychodzą zasobniejsi koloniści niemieccy i nabywają grunta ku ogólnej krzywdzie kraju.

Ślady klęski powodzi, w miejscowościach dotkniętych klęską żywiołową, długi czas jeszcze odczuwać będzie ludność. W niektórych miejscowościach ludzie pozostali bez dachu i chleba, zdążyli bowiem zaledwie ujść z życiem.

Bardzo trafną uwagę, charakteryzującą nasz entuzjazm na wywóz, dla reklamy czyni z tego powodu „Kurjer Zagłębia“.

„Kiedy wieść o katastrofie mesyńskiej rozniosły pisma po świecie zaczęto urządzać przedstawienia, koncerty, zbierać składki prywatnie i publicznie; dziś, gdy wieści o powodziach i skutkach ich dochodzą nas niemal codziennie, nie myślimy wcale o przyjściu z pomocą biednej braci naszej: Nie chcemy przypuszczać, aby społeczeństwo było mniej chętne do przyjścia z pomocą swoim niż obcym i tłomaczymy to tylko zapomnieniem“.

Tę ostatnią uwagę można śmiało zaliczyć do szeregu banalnych i zdawkowych grzecznostek, któremi „Kurjer Zagłębia“ chciał połaskotać ambicję filistra.

Że tak zwany ogół, przejawiając obojętność dla spraw, posiadających szerszą wagę społeczną, czyni to nie przez zapomnienie, lecz przez pospolitą obojętność, dowodzić chyba zbyteczne.

Świadczy o tem najlepiej nędza, panująca zarówno wśród zesłańców politycznych, jak i wśród rodzin ich, jakie pozostały w kraju.

W ostatnich czasach dopiero w Łodzi poczyna się tworzyć komitet opieki nad więźniami.

Z tego powodu jeden z czytelników „Kurjera Zagłębia“ w liście do redakcji tego organu mówi:

„Sądzimy, iż powstanie takiego komitetu i w Zagłębiu jest konieczne. Dziś robotnicy prywatnie i osobiście, o ile mogą, pomagają żonom i sierotom zesłańców lub aresztowanych, pomoc ta jednak rozstrzelona nie może być skuteczną. Nie mamy pod ręką liczby robotników zesłanych do Cesarstwa lub na Syberję, lecz ilość ich stosunkowa nie jest zapewne mniejsza niż w Łodzi, a pozostałym żonom i dzieciom daleko trudniej znaleźć jakikolwiek zarobek“.

„Może głos ten—czytamy w zakończeniu—przyczyni się do powstania u nas komitetu dla tych najnieszczęśliwszych i zapomnianych“.

Ze wszech miar życzyć należy, aby głos ten odezwał się istotnie jaknajszerszem echem i to nie tylko w Zagłębiu, lecz w całym kraju, niema bowiem miasta, w którémby nie zamieszkiwali nieszczęśliwcy tej kategorji...

Konieczność powołania tego rodzaju instytucji wskazuje życie, lecz inteligencja prowincjonalna, co zresztą z równem powodzeniem zastosować można i do warszawskiej, stosuje się do istotnych wymogów życia w chwilach bardzo rzadkich. Inteligencja ta zadużo ma na głowie swoich własnych kłopotów, aby miała myśleć o tego rodzaju „niebezpiecznej“ i bądź co bądź „angażującej“ pomocy społecznej. Zresztą czasu wolnego jest tak niewiele, więc trzeba go poświęcić kabaretom; a kabarety te, stanowiące parodję warszawskich, które ze swej strony są parodją kabaretow rozmnażają się na prowincji niby grzyby po deszczu... One też konkurując z zielonym stolikiem, odciągają ludzi od poważniejszej i bardziej celowej pracy.

Asper.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Zofja Rygier-Nałkowska „Koteczka czyli Białe tulipany“. Lwów 1909 r.

Gdyby to było możliwe, to chciałbym widzieć panią Rygier - Nałkowską spacerującą—po drzemiących alejach jakiegoś pięknego parku. Bezwątpienia ubrała by się na ów spacer w najpiękniejszą ze swoich sukien—i spacerując z godnością rzucałaby swoje łaskawe spojrzenia na kwiaty, wyróżniając nie te, które pięknie pachną, ale te które pięknie wyglądają. W pogoni za ładną linją i królewskim gestem i tem wszystkiem co się nazywa wykwintem p. Rygier-Nałkowska zatraca poczucie szczerego obcowania z poważnemi zjawiskami życia. Świat jej wyobraźni obarczony fatałaszkami i bagatelkami zamyka się w ramach zewnętrznych wartości człowieka. Autorka nie wiadomo dlaczego kocha się w głupstewkach sentymentu kobiecego, przesadną efektacją wprowadzając uczucie nieufności. Każe np. jednej ze swych bohaterek wstawać w nocy, aby obronić bzykającą muchę przed śmiertelną natarczywością pająka! Co za wrażliwość! Jak to pogodzić z zasadniczą barwą kobiet p. R.-Nałkowskiej których atmosferą jest sztuczne i chłodne światło, podziw, wytworność, grzeczni panowie, rozpieszczone zwierzęta, wykwintne suknie, a przedewszystkiem pewność, że się jest ostatnim wyrazem godności! A zatem p. Rygier-Nałkowska realistką nie jest! Jeżeli jej nowele będziemy rozumieć jako skutki, to przyczynami ich są tylko osobiste jej myśli—myśli nader chłodnego umysłu, będącego bezwątpienia w rozterce z namiętnościami wulgarniejszej natury. Stąd pewna gorycz i zamaskowana pogarda do mężczyzny, który jako urodzony brutal, nie może kobiety ocenić sprawiedliwie. Ta ostatnia w oczach autorki jest najpiękniejszem zjawiskiem świata. W gorączce namiętnego uwielbienia pragnie apoteozować nawet to, co jako zjawisko fizjologiczne apoteozy niepotrzebuje.—W obec tego nie będzie przesady, gdy powiemy, że p. R.-Nałkowska pomimo licznych pierwiastków męskich — w zasadzie strzeże stanowisko kobiety, pociągnięta w tę stronę solidarnością płciową, tak wyraźną ilekroć bierzemy pod uwagę utwór kobiecego pióra!

Po za tem w całym tomie pewna jednostajność zwruszeń, chłód, oraz wyraźna niechęć autorki do wszystkiego co nie świetlane, rasowe, pachnące i piękne—nie pozwala zrzucić z siebie p. Rygier-Nałkowskiej płaszcza wykwintnej pozy i zajrzeć do zakamarków ludzkiego nieszczęścia i ludzkiej niedoli. A szkoda! pani Rygier Nałkowska ma przecież talent duży, niezaprzeczony, umysł wrażliwy i subtelny, a styl piekny! Czyż wobec wartości tak wybitnych nie należałoby wziąć zupełnego rozwodu z nowelistycznemi improwizacjami i nie stroić zaczątki dusz ludzkich w zgoła przypadkowe materje?!... Panią Rygier-Nastkowską stać na to. Autorka „Księcia“ otrząsnąwszy się z przykrej maniery—może dać nam książkę, która wzniesie się wysoko po nad przeciętność! Wierzę w to i dla tego mówię:

Noblesse oblige! Komu wiele dano — od tego wiele żądać będą!...

St. Kiedrzyński.

KRONIKA.

— Kursy dla dorosłych. Dnia 6 m. bież odbyło się zebranie organizacyjne V Oddziału T. K. P. który nosi nazwę „Systematyczne Kursy Przyrodniczo - Matematyczne“. Nowoutworzony oddział pragnie szerzyć oświatę wśród warstw pracujących i uwzględniać będzie nawet najniższe przygotowanie słuchaczów. Zapisy na uczniów i członków przyjmuje Biuro Zarządu — Erywańska Nr. 3. — w dni powszednie od 10 r. — 1 po pol. i od 5 — 8 wiecz.

— O popełnionym w Paryżu zamachu „Temps“ przynosi bliższe szczegóły:

W sobotę rano, około godz. 6-ej mężczyzna jakiś, mający ubranie w nieładzie, wpadł do komisaryatu policji w dzielnicy Combat; mówił przytem językiem obcym i wykonywał takie ruchy, jakgdyby strzelał z rewolweru. Agenci policyjni mniemali na razie, że mają do czynienia z warjatem, lecz w kilka chwil potem wszedł do komisaryatu wysoki mężczyzna, z twarzą pokrwawioną, a ujrzawszy owego człowieka z rewolwerem, zawołał: „Aresztujcie go, chiał mnie zabić“! Poczem przedstnwił się jako pułkownik von Kotten, szef policji politycznej w Moskwie i objaśnił, że, pod nazwiskiem Kondrofa, zamieszkał w hotelu „Continental”, zaś człowiek, który usiłował go zabić, nazywa się w rzeczywistości Mowsza-Rips. Dalej opowiedział pułkownik von Kotten, co następuje: Przed laty dwoma policja w Moskwie zaaresztowala 30-letniego człowieka, inżeniera-agronoma, urodzonego w Polsce, który przebywał w Moskwie pod nazwiskiem Michała Witkowa. Należał on do organizacji terorystycznych, został oddany pod sąd i skazany na wygnanie w Syberji; po roku uciekł stamtąd i przybył znów do Moskwy, lecz tu policja zaaresztowala go niebawem. Wówczas pułkownik Kotten zaproponował mu, że pozostawi mu wolność, jeżeli on zechce zostać pomocnikiem policji. Inżenier przyjął pozornie tę propozycję i wyjechał do Paryża, gdzie miał śledzić rodaków; zamieszkał przy ulicy Bolivar, pod nazwiskiem Michała Witkowa; języka francuskiego zupełnie nie znał; życie prowadził spokojne, wieczorami wracał do domu wcześnie, przyjmował bardzo mało osób. Pułkownik Kotten udał się tymczasem do Nizzy i korespondował z Witkowem, a przybywszy przed tygodniem do Paryża, widywał się z nim, bądź w hotelu „Continental“, gdzie zamieszkal, bądź też w jego mieszkaniu przy ulicy Bolivar; tam też udał się Kotten w sobotę, by rozmówić się z Ripsem, alias Witkowem, gdyż miał wyjechać do Moskwy. Pułkownik opowiadał. że Mowsza Rips był bardzo podniecony, mówił w bardzo dziwny sposób o działałności terorystów, a w chwili, gdy Kotten stanął w oknie, Ripis strzelił do niego pięć razy z rewolweru. Wszystkie strzały chybiły, pułkownik rzucił się na Ripsa, lecz, mając jedną rękę sparaliżowaną, został przez tegoż powalony na ziemię; następnie Rips bił go kolbą od rewolweru po twarzy. Na krzyki pułkownika zbiegła się służba, a Ripis umknął.

Pytany przez komisarza Mowsza Rtps — przy pomocy tłomacza — oświadczył, że chciał zabić pułkownika Kottena, by odsłonić działalność policji rosyjskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

Panu Stachurskiemu, w „Myśli Niepodległej”. Listu Pańskiego nie zamieściliśmy, gdyż jako dokument zawierający przyczynek do sprawy St. Brzozowskiego, nadaje on się tylko do przedstawienia sądowi w Krakowie. Z tej samej przyczyny w tymże czasie odmówiliśmy drukowania paru listów podobnych, choć w duchu przeciwnym i nikt o to alarmu nie robił, widocznie niema Pan nic poważniejszego do roboty.

Redaktor i wydawca **Władysław Gacki.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego Nowy-Świat 47.